



Izabela Kawczyńska



Wiersze



Matka

moja matka tak bardzo zawstydzona, że mogę być kobietą,
a przecież w jakimś pradawnym czasie wyrosłam z jej
podniecenia, które ogarnęło ją po sam czubek głowy, od
wydekoltowanych kłykci palców poczynając, w podrzędnym
klubie o nazwie młodość, rodzinne ciepło ogniska połknęło ją
doszczętnie, by wypłuć mnie z jej brzucha dziewięciomiesięcznym
falstartem, z dziurawej łąki łona w topaz widnokregu

zapomniała jak być kobietą, z podnieceniem, co spływa
po wewnętrznej stronie uda, śliska słodycz bólu i gdzie
miałaś wtedy głowę, męskie kastracje, które ranią, oni
wszyscy zawsze wiedzą lepiej, będą za ciebie popychać
ten wózek, wyskrobia ci rozsądek z misternej jawy brzucha,
który należy do ciebie lub nie, nie będziesz się przecież
spierać o sprawy równie nieważne jak twoje życie czy ciało

moja matka trzyma się prosto, ciągle jeszcze trzyma się
dzielnie czegokolwiek, tak szybko jak potrafi, w roztargnieniu
chwytą moje słowa pomiędzy parapetem i oknem z nieudawaną
wdzięcznością chwytą wysmukłe przęsła moich palców, po których
ruchliwej drabinie wspinaamy się razem z powrotem do rajy

Divina

co masz mi do powiedzenia zatrzaśnięty w chitynowym
pancerzu równo skrojonych garniturów, dzwonisz do moich
drzwi i mówisz: jestem, i przez chwilę naprawdę jesteś, robaku
pod czarnym butem faktów spasionych jak narkotyczne wizje,
opłakiwanie pięknych saren nawykłym do zręczności nożem,
patroszenie smutków wyciekłych z niemych pysków gęstą taftą śliny,
czy przyszedłeś mnie skrzywdzić? czy chcesz mi tylko spojrzeć w
oczy? w medaliony rozklekotanych jezior bełkotliwe i skrzywdzone

strach jak drżenie skrzypiec zasycha na rzęsach, podskórna czułość
męskich torsów czerwonych jak piekący srom, chcesz się zabawić?
chcesz się zabawić w boga? próbujesz się zgubić czy znaleźć? życie,
mój miły, zostawia na skórze rdzawe ślady, przekleństwa losu wypisane
niezmywalnym piórem, sympatycznym atramentem, ostrzem, które kłuje,
stigmata diaboli, stigmata divina, potrzyj palcem, a potem spluń, to tylko
płatek krwi, nic więcej, maleńka drzazga w spuchniętym palcu boga,
która boli, tak bardzo boli, niczym zredukowany wszechświat,

nie zdołasz tego uniknąć, nie zechcesz tego uniknąć,
teraz, kiedy już wiesz, a ja, żebro Adama, jestem tylko obok

Łatwo jest sypiać

łatwo jest sypiać z idiotami i prorokami, synami idiotów,
jedni i drudzy jednako systematycznie sprawdzają, czy istnieją,
namacalnie, z bardzo bliska, wbrew zwierzęcym przeczuciom,
wbrew katastrofalnym znakom na niebie i ziemi, na podłodze
albo w łóżku jedni i drudzy wczolągają się we mnie, niekiedy
wjeżdżają triumfalną kwadrygą w ruchomych piaskach

wzburzonej pościeli, w pościeli ruchliwej opuszkami palców
jak stonka obłażą z rzadka niespokojnie, rozkład dni sprawdzają,
a sprawdziwszy ranią, rany pielęgnują zaślinionym ostrzem,
wpełzają pod język, pod językiem siedzą, w ucho wsiąkają
śliskimi szeptami, skuleni jak embrion w uchu pozostają
i krzyczą, i krzyczą donośnie jednako, chociaż nie mają

nic do powiedzenia

Gekkonidae. Dom

nigdy nie mieszkałam w słowach, słowa nigdy nie były
moim domem, mówiłeś: schowaj język, znajdź swój język,
zawiń się w jego miękką woal, płaszcz z suchych nosków,
które trą podbrzusze albo łakomie grzebią po lodówkach
lamparcim gekonem, który z zimy zamarł, a łapki miał kruche,

bardzo różowo przechadzał się po dłoni, przechadzki robił
prześwitujące, spacer, do których tęskno i brak, bo niby jak
pod ziemią, pulchnym wodospadem pełzających włosów,
a już na pewno przystawką z szerszeni, przesadzasz, mówiłeś
i nie płacz na pogrzebie, bo czy gekony w ogóle mają pogrzeb,

bierzesz mnie na język, trzymasz mnie za słowa, rozbawiony
powiadasz: idziemy do domu, moim domem zawsze było ciało,
obrażone słowa pokazują zęby, nie są dziś przyjazne, nie trzeba ich
drażnić, w dniu kiedy życie przestaje być żywe jak paznokcie czy
kokon lub obcięte włosy, dwa szpadle poniżej duszne rigor mortis

i nie jestem pewna, czy my w ogóle mamy jakiś dom, w żyłach
wybucho nam wiosna, wróble krzyczą na drzewach, ułaskawione
świerszcze cykają, gekon zostaje pod ziemią, jego plamki splezną,

ale słowa nic sobie z tego nie robią

Odwiłż. Rh+

coś umarło, nie jestem pewna w jakim kierunku
i dlaczego, jak ryby, które tropiłeś latami zanim
odeszły, kiedy odeszły nie pozostało nic do zrobienia

czy mam udawać, że nie widziałam twojej
twarzy na brzegu rozkrojonego śniegiem miasta,
miasta przepołowionego nocnym sypkim śpiewem

pieśń jak księżyc wschodziła na wargach, topniała
w oczach, czy powinnam powiedzieć wiejska piosenka,
spacer lunatyka, ludowa przyśpiewka, której imię miłość

kiedy odeszła nie pozostało nic do zrobienia, topnieliśmy,
o świcie było nas mniej niż nic, miejskie drapieźniki
zwęszyły krew, wilgoć milczenia trącały nosami

niecierpliwie, coraz niecierpliwiej,
ruchliwe ryby namolnie wracały
po świeżo rozdrapanych śladach

Sprawy, o których nie chcemy rozmawiać

przedostać się przez ten dzień, bolesny jak opuchnięte
dząsła, palce, co wytykały mnie na spodniej stronie twarzy
albowiem rozkład zaczyna się od spodu, w miejscach
przecięcia, niepozornych zmarszczkach, zgrubieniach
naczyń, jeszcze nic nie widać, jakieś pęknięcia, haczyki,
kosteczki, znużonym jękiem kruszy się wszechświat,

rozpuszcza nas tylko ślina, zlizany cukier trzeszczy
pod zębami, jak ten dzień, którego od rana mam dosyć,
sprawy, o których nie chcemy rozmawiać siedzą mi
w brzuchu cicho i kopią, a ja marznę w zakneblowanym
łóżku, marznę i marzę, boże, nie chcę księcia, byle tylko
przedostać się do jawy, we śnie walczę z demonami,

one zawsze wygrywają

Pierwszego dnia przyjdzie śmierć

i będzie miała twoje oczy

wchodź we mnie póki możesz, po ciemku nie dojdiesz donikąd,
rzeka spieniona odśrodkowym wirem naciąga gałkę oczną i ssie,
powieka gramoli się z bólem, w duecie źrenicy udaje coś żywego,
próbuję wmówić samej sobie, że ma jeszcze coś do powiedzenia,
czym jest czy niczym nie jest, nie mamy pojęcia,

nie znamy pojęcia, którym moglibyśmy objąć, znaczenia choćby
zbliżonego, do warg twoich zbliżasz chropowaty język, wydobyłby
nazwę dźwięczną jak wysokie C, jeśli mu pozwolić, nie znamy języka,
który mógłby przemówić nam do rozsądku, zrozumieć wreszcie zamiast
nazywać, z każdym zaśnięciem umieramy,

zasypiamy na raty, robimy zazen, sessin, pijemy herbatę, gapimy się we
własne twarze jak w odśrodkowy pępek, spokój wszechświata, jedność,
łagodnie miękkie orgazm, z każdym orgazmem umieramy, po tyłu kołdrach,
łóżkach, latach tylko rutyna, żaden przymus, tylko podłoga, żaden budda,
wszystko na części, w kawałkach, osobno,

w egipskich ciemnościach błąkamy się ślepi i wygląda na to, że tak
już zostanie, choćbyś krzyczał ze strachu czy właśnie dlatego, jak
zakurzony klawisz delete wymaże z nas śmierć życie, chyba że
zdążymy sami siebie zanim, słowa nas zdradziły, w ciemności
zdradzają nas dźwięki, po nich poznajemy

Mehari. Inna karawana

z prochu powstałeś, w jęk się obrócisz stratowany przez
sfory własnych myśli, dziki galop rozerwał cię na strzępy
i słyszysz, słyszysz jeszcze w powietrzu ten tumult, piasek

i kurz na tafli źrenicy, w krtani zaschnięta kulka podmiejskiego
szłochu, trefiony pośpiech współczucia czy może nadzieja,
płochliwy dromader, koślawy bezwstyd przygarbia ci plecy,

budzi twój żal doprawdy niepotrzebnie, wszyscy znamy te

sprawy nazbyt oczywiste, znamy ten rodzaj lęku, po co o tym
mówić, a jeśli już koniecznie, najlepiej milczeniem, śmiertelność
naturą jest człowieka, powiedzmy jego drugą skórą, bita droga

oka nie zna poruszenia, nieobca jej tkliwość i dozgonna czułość,
ziarno piasku sprawia, że płacze, spośród zaułków powiek,
zasieków rzęs skulonych obrosłe perłą źrenicznej macicy

stacza się mokrym szlakiem donikąd, odruchowo

Remine

miasto wypycha nas tłumem ulic, falujemy niezgrabnie
jak dzieci wchodzące po schodach albo starzec, chodzisz
jak starzec, mówisz, obleśny smutny palec, sprawy są
zimne i zbyt oczywiste, pod powiekami wgrzyzają się w nas
wygłodniałe paszcze, niewidoczne chrząszcze tykaniem
mierzą nam puls od środka, musimy im pozwolić,
przeczesujesz rzęsy jakbyś miała się jeszcze rozeźmiać,

nie trzeba, nie żałuj niczego, w innym życiu, na plaży
rozdrapanej paznokciem upału dziewczyna o smaku
pereł wdeptywała w piasek okrągłe lepkie ślady, owszem,
znałem ten smak, chrzęścił pod zębami, powiedziałaś,
że to twój czas, nadszedł mój czas powiedziałaś, i rącznik
zaczął krwawić, poszłaś popływać, zostawiłaś nas samych,
czerwone ślady na piasku

Nigdy nie zapytałem

nigdy nie zapytałem, jak ci na imię, z twarzą
szesnastolatki prowadziłaś mnie za rękę wilgotnym
bulwarem, ptaki krzyczały kwaśnym skrzekiem, oboje

woleliśmy milczeć, obłaskawialiśmy nagie ciała ukryci
przed sykiem ulic, przed dusznym miejskim zgiełkiem,
pod skórą pełzał papierosowy dym, powolnie i gęsto

przesypywałem się przez twoje włosy na wypłowiałej
kanapie, rżąc jak pijane zwierzę, na wzgórzach twoich
piersi przegrałem wszystkie bitwy, wszystkie wojny, jakie

przyszło mi przegrać, przegrałem tej właśnie nocy, o świcie
nie miałem już duszy, patrzyłem jak śpiz, niebrzydkie
smutne dziecko, z twoich dłoni kruk, zapowiedź umarłych,

wypadł i odfrunął

Mówią

nie można wejść dwa razy do tej samej wody,
my jednak próbowaliśmy, to oszołomienie i zachwyt,
które nazywają życiem, w ciemności zaplatałem
twoje włosy, zaplecionymi drażniłem nozdrza
i wargi aż drżały fundamenty przyzwoitości

w podrzędnym motelu, czułem ulgę i zapach gnicia,
nie myśleliśmy o tym wtedy zbyt nago porozkładani
pomiędzy leżakami obrączkowanych kobiet i przystojnych
mężczyzn, omszali w sypkim łonie piasku, rozwierceni
przez słońce i ślepi, woda wchodziła w nas bez końca

Te sprawy

w zimowe wieczory przeciągamy się w kołyskach
rozrzedzonej skóry, w dostojnych kocich kołyskach,
przywabiają nas osobliwe kwiaty, kielichy krowich wymion
różowe, ciepłe i ciężkie, przykuwają naszą uwagę rzeczy
pierwszej potrzeby, osądy ostateczne jak życie i śmierć,
owszem, te sprawy są dla mnie istotne, ale dziś wieczór

chciałbym przejrzeć się w lustrze niewiedzy tak doskonałej,
że mógłbyś tylko krzyżeć, dźwięk poszarpanej struny
jak ość wydobyć z gardła, w zimowe wieczory pełen winy
i przebaczenia skazany jestem na kobietę, z gładkiej jak
obol tafli wynurzam się zawstydzony uczeń, ptasi bóg,
bóg-głupiec, na pergaminie prześcieradła bledną tajemne
znaki, kobiece tsunami, gwałtowne w spazmach szkwały,

nazbyt krótkotrwałe, nad obszarami mórz i oceanów, jej
mórz i oceanów, jej obnażony organizm, sza, to tajemnica,
niewiedzą wypełniam pokój, wstępuję w wilgoć, liżę rany,
jakby od niechcienia, a przecież chciałem inaczej, czyjś brzuch,
pijany żeglarz, dzikus-ludożerca siada mi na twarzy, mamroczać
małą kocią mordką dla zasady i dla obrządku, na niebie
księżyc wschodzi niespokojnie, srebro w oczy głupców

KONIEC LATA. PODRÓŻ

Bezmiar. Trawy na łąkach płyną jak strumień.
Szeleszczą roje robactwa, lekkie jak porcelana.
Za tym zakrętem zasnąć. W tamtą stronę
pobiec, lecz nie uciekać, gdy bezmiar mówi:
jeszcze nie teraz. Jesteśmy bardziej niż dzieci
potulni i strapieni, jakby nas wiedli na rzeź,

której nie ma, a która będzie. Na oczach staje się
śnieg i cisza wypełnia powieki jak stare, dobre
złoto. Potrzebujemy krwi. Obręczy z puchu
i piór na ebonicie nieba. Niech będą jak pieśń,
jak zaklęcie. Kręgi lamp urokliwych, co oświetlą
drogę. Wyjaśnią drogę, kiedy nas zabraknie.

PRZEZIMOWANIE

To konsekwencja układu, jaki zawarliśmy.
Pozostaję żywa, w sposób, który nie pozwala
na sentymenty. Każdego dnia pielęgnuję ciało,

leniwe jak truteń. Dbam o siebie, tak jak
obiecałam. Wiosna rozbije ciszę jak lustro.

Z upływem czasu inkrustacje przestają być cenne.
Kiedy kobiety schodzą nad wodę, wszystko jest
poruszeniem. Grążele odstają od tafli jak narośl.

STREFY KONI

Tu się mówi largo. Spomiędzy źerdzi przesiąka
dźwięk. Las dzierży chrobot. Dźwiga się ciało.
Bieg koni tnie ścieżkę jak skalpel. Kiedy gorączka
smagała nas batem, chciałem cię zmusić do płaczu.

Słodki owoc sierpnia i głód na pokładzie. Owady
otrzepywały skrzydła. Komary cięły powietrze.
Potrzeba nam czegoś więcej. Obiecałaś zamknąć
oczy i kiedy je zamknęłaś, las wystąpił z brzegów.

LUNA

A księżyc po prostu tam był, dostojny i śliski
jak węgorz. Ryby przeżyły ciała, grube niczym lingam.
Bąbelki powietrza, lekkie jak oddech, migotały
i gasły srebrnookie gwiazdy. Śliwki nietoperzy
kołysały drzewem. Lotnicy o ostrych, ciepłych
pazurkach, o brzuchach gładkich jak murzyński bęben.

Nad nimi księżyc, rybionosy i nijaki, doskonale
obojętny. Z Shakti wypadły pszczoły, brzęczące,
rojne złoto; płynęły ku mnie, ciężkie od żądań,
więc puchłam, puchłam, ani Baubo, ani Kora. Śmierć
jest dziewicą, pojawia się nagle, odziana w biel,
śnięta i senna. Trzyma w ramionach czarną małpę.

MAŁE HURAGANY

Kobieta podniosła barokowe kształty. Wytrząsnęła z włosów ziarna pszenicy i słońce, które raniło jej skórę jak miłość. Zraniona wypłynęłam w morze. Chmury bujały się na boki, kiwając na mnie palcem. Nie miałam im do opowiedzenia żadnej nagrobnej historii, ciężka jak Budda o rżęsach ze złota.

Wciągała mnie barwa twarda jak nefryt.
Mewy rzygały krzykiem w piasek. Na brzegu
brodaci głupcy wołali: ślimaku, ślimaku, wyjdź
ze skorupy! Omszały Łazarzu, zmartwychwstań!
Ich żebra wędły jak ciała meduz, których
milcząca agonia, z braku pereł, przykuwa uwagę.

ŚLADY

O tobie coraz głośniejszy w świecie, jak balia, wielkim i przepastnym. Tutaj powietrza więcej niż gdzie indziej. Pośpieszne przejeżdżają z wizgiem po żebrach przyrosłych do pręgi szyny. Krew jest ślepa i lepka jak błoto. Śmierć istnieje, to pewne, chociaż nie widział nikt drugiego brzegu.

Zima nadciąga jak powódź. Są już pierwsze ślady: wróble opadły z drzew jak późne jabłka, i jamki po stopach, w których rtęć zamarza, tworząc zwierciadła. Chłód ścina liście, pożera zachłannie niczym jedwabnik tkanę morwy; zawija serca w małe, śmieszne piąstki, które biją i biją.

Od miesiąca żywię się niebem, więc jestem pochmurna i błada, taka jak nie lubisz. O tobie coraz głośniejszy; mówią, że nie wrócisz. Tutaj maluje się framugi, nie usta. Rany są świeże i głębiej. Przede mną kolejny rok życia. Na razie gapię się w niebo; próbuję przypomnieć sobie, kim jestem.

KOLEJ TRANSYBERYJSKA

Łóżko jest białe jak naskórek trupa. Karta choroby
jęczy i puchnie. Kokon z bandaża otula ciało niby pas
jedwabiu. Od sześciu dni dzielę się z nim potem
i brudem. Dotarłabym do raju, gdyby nie ten szpital.

Ucisk w piersiach ciąży jak bagaż. Oczekiwanie męczy
kobiety jak księżyc. Śmierć odwiedza nas regularnie.
Pielęgniarki rozchylają okiennice, jakby rozkładały
nogi, obnażając kocie niebo. W szybie odbijają się usta,

wilgotne jak penis świni. Jeśli wpadasz, przynosisz mi
kwiaty, które wierzgają czerwienią jak zdrowe niemowlęta.
W pieluchach z papieru paskudzą ciszę, kwiląc i tętniąc.
Ospała i głodna wbijam zęby w ich śliczne, pulchne serduszka.

NOWA MITOLOGIA

Wszystko zawiodło. Odkrywasz to w poranek, który nie jest smaženiem bekonu i jajek. Pies jest głodem. Supeł w jego brzuchu zaciska się i ssie. W mojej głowie mieszka potwór; stale bełkocze i mówi. Nowiny roznoszą się jak choroba. Wieczorami wracasz. Przynosisz miasto w otwartych oczach – twoje źrenice to czysta rtęć. Ogłaszasz rozejm, ale, tak czy inaczej, przypominamy wojowników.

Nasz pies to Minotaur. Gładzisz łeb bestii, szukasz spokoju, myśliwy ze złotym meszkiem na skroni. Przez płeć wchodzisz we mnie jak w wodę. Nazywasz mnie matką. Dawniej miałam matkę. Była królową pszczół albo wiedźmą. Z rozciętych warg dawała mi miłość. Teraz jestem wymarłą planetą dojrzałą w swej barwie. Znałam rzeźnika, który w nocy zrywał się z krzykiem. Jego dłonie kuliły się na białym brzuchu żony.

ZAŁÓŻ COŚ CZERWONEGO, POWIEDZIAŁ

Nie,
nie jesteś moim dzieckiem,
choć czułam cię w sobie. Przez długie miesiące
poruszałeś się we mnie. Ty jesteś serce,
co uderza jak pięść. Nawet teraz
wydajesz się zabawny jak floreańska foka. Pamiętasz?
Robiłam staccato palcem o szybę, a ona huśtała się tam i z powrotem
– tak właśnie jest, kiedy idziesz na dno, a flotylle bąbelków zwiastują ci
koniec. Przyśniło mi się, że tonę, więc mówię do ciebie i jak to możliwe,
że to nic nie znaczy – ponieważ ja jestem pod wodą, ty jesteś
czas przeszły, mężu mój, wszystko czym jesteś. Miałeś rację,
kiedy mówiłeś, że powinnam ostrożniej otwierać listy, drzwi,
małe skrzynie pełne kości, inaczej pewnego dnia stanę się raną.
Jakiego żądasz królestwa, ty, który kłamałeś piękniej niż kiedykolwiek
mogłabym kłamać. Każdego roku czas niweczy, co stworzył i tworzy to,
co za chwilę zniweczy, mówiłeś, dawni kochankowie przemawiają
do siebie wrogimi słowami, jakimi zmarli zwracają się do żywych,
którzy zawiedli (bo zawieść to przeżyć).
Mówię do ciebie, mówiłam, to koniec. Być może
dlatego, że czas nas niweczy. Sufrażystki piękna o twarzach delikatnych
jak woda, z biodrami doskonalszymi od ich naszyjników,
urządzą w twoim sercu defiladę wdzięku, krótko mówiąc
na powrót staną się niewolnicami ciała, a potem pójdą dalej w wiosnę łagodną
jak nawrót choroby. Ze mną będzie gorzej. Przyśniło mi się, że pójdę
na dno. W ciszy. W czerwieni, ponieważ mamy jej tak wiele w środku.
Miałam cię w środku, ale to nic nie znaczy, bo nie ma już wiosny
między nami. Być może cię kochałam, być może
to koniec i jak to możliwe, że
mówię do ciebie, która stoję na brzegu i tonę.

PALIMPSEST PO STRACIE

Ona nie lubi igieł
i że zaskoczone baloniki nie mówią O, tylko pękają.
Opowiedz o dziecku, co bawi się morzem, jak zimne są jego wody
i czy ono jest moje. On woli nic. To nie jest łatwe,
mieć wyłącznie język. Resztę odkładają na bok, rozdzieleni ciałami,
z których każde tworzy swój osobny osad. Też to znacie?
Jak cicho leżą w ciemności. Bliscy i niedotknięci. Aż po grób
dojrzewało w pościeli o barwie indiańskiego lata i teraz trzyma za serce,
choć o tej porze małżeństwa wszystkie domy są niczyje. Ona się budzi
jakby zasypiała, on chce się w niej zgubić bardziej niż zwykle.
Woli kobiety Masajów, zaklinaczki węży, skóry pokryte czerwoną ochrą,
tam i tutaj też, ale udaje, że wszystko mu jedno. Ona już nie chce
familijnych filmów: dziewczyny połykają niebo, niosą je w sukienkach
tak gładkich, że niemal cyklonowych i jeszcze bardziej w środku,
aż chce jej się płakać, bo czy apaszka robi z niej kobietę? Trochę
już dobrze, trochę czułości, on, w sumie, chce. Ta z naprzeciwka
pociąga go i za co lubić femme fatale? Że muślin bielizny łopocze na sznurze
jak sztandar wisielców? Jej pozostaje znowu się pozbierać.
Jak nic nie wiedzą, ci, którzy żyją. Jak wszystko im trzeba powiedzieć,
zanim słońce sterowane nieznaną syntaksą rozrośnie się
albo spełźnie.

ODA DO ROZWODU

Hej, wszystko w porządku? Pokój zmieni się
w wojnę, kiedy z niego wyjdziemy, więc usiądź i pozwól,
że będzie bolało. Mój lekarz ma kapsułki, w nich śnieg;
jestem tu obca od kiedy zamieszkałam w zimie. Rok może trwać
rok, może dłużej. Jutro możemy być martwi, powiedziałam.
Było dzisiaj, widzieliśmy napis na nagrobku: miłość
nie jest zdeterminowana odległością ciała.
Było dzisiaj. Wystartował samolot linii Ikar.
Wysyłałeś pocztówki wszystkim moim ślicznym,
a ja byłam otwartym oknem z widokiem na szpital. Mów mi o tym,
mów o innych jeszcze rzeczach, aż stanę się dla ciebie
przezroczysta jak Matka Boska na witrażu w kościele pod wezwaniem
Litość. Mój ulubiony morderca, mój lekarz, chce mnie wyleczyć
ze wspomnień w rodzaju homesick, z naszej sypialni, w niej sążnie i salta,
i z tego lata, kiedy pokazałeś mi sposób w jaki dźwięk opuszcza pokój.

Łatwiej wydobyć śpiew z tuzina skowronków odlanych ze złota,
łatwiej uśpić zwierzę, które nie chce spać, naszego psa,
ustalić, czy i które z nas było sprawcą
spektakularnych pocałunków stulecia,
pewnie, że łatwiej, pewnie, że. W porządku. Wróć do mnie
w dzień sądu, kiedy wszyscy będziemy zapomnianym miastem.